

Po wakacyjnej przerwie wznowiamy druk opowiadań członków KMA na tej honorowej — literackiej kolumnie. Rozpoczynamy opowiadaniem Marii Zakrzewskiej (pseudonim w KMA „Majka”). Majka jest od niedawna członkiem KMA. Można więc powiedzieć, że „nowe pokolenie” KMA zaczyna debiutować na tych kolumnach. Majka uczestniczyła w rejsie na „Zawiszy Czarnym” i redagowała we Fromborku „Na przelaj przez Frombork”. Jest uczennicą II klasy Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie. Kiedy pokazywała mi tego lata we Fromborku małe fragmenty, szkice tego opowiadania, zapytała: Czy coś z tego może być? Odpowiedziałem — to zależy tylko od ciebie. Pracowała nad tym opowiadaniem prawie dwa miesiące. I tak zrodziło się „Życ chwila”. Majka jest dziewiątym członkiem KMA, debiutującym na tych kolumnach. Kto następny? (Woj.)

ŻYC CHWILA?

Powiedziałeś mi, że żyjesz tylko chwilą. Mój Boże, jakżeż się wtedy oburzyłam. Mówiłam, pamiętam to jak dziś, że tak nie można, że trzeba się angażować we wszystko na stałe, że trzeba mocno i zawsze żyć, a nie czekać, co przyniesie chwila. Mówiłam, że... zresztą czego ja wtedy nie mówiłam! A były to tylko słowa. Najgorsze, że wierzyłam w te moje bzdurki. Nie wiedziałam, że swoim zachowaniem zaprzeczam im. Słowa, znowu te idiotycznie puste, niewarte nic słowa, a raczej myśli, które jeszcze nawet nie zdążyły się ukształtować w słowa. A może to nie wina słów, tylko ja jestem taka podła? Mój Boże, przecież ja tak chciałam kochać! Tak wierzyłam, że moja miłość będzie trwała wiecznie, że będzie inna od tych wszystkich głupich „chodzeń”, że będę Izolda... Musisz przyznać, że w przeżyciu było strasznie ciasno, łatwo można było udać, że moja głowa z braku oparcia musi być na Twoim ramieniu. Udać... Eh. Ty zresztą i tak wiedziałeś. Chciałam tylko udać przed sobą, przed swoim wspomnieniem o Marku. Udało się. Byłam rozgrzowana. Chwilę było dobrze. Bardzo chciałam, żebyś położył mi rękę pod brodę. A tak, chciałam, chciałam, rozumiesz? Chociaż pół godziny temu jeszcze była tamta chwila z Markiem. Więc czemu tak łatwo wyrzuciłam ją z pamięci? Myślałam, że tylko on i zawsze i ciągle... Potem był deszcz i spacer i Ty miałeś pojechać o dwunastą, a pojechałeś kilka godzin później i była Twoja ręka i milczenie i taki śmieszny gumowy piesek z rozprutym brzuszkiem. Siedział sobie na metalowym kubie od śmieci i płakał deszczowymi łzami. Ty zauważyłeś go pierwszy. Długo mu się przyglądałeś, a ja, pamiętam to dobrze, myślałam, że to jest cholernie romantyczne i jednocześnie stereotypowe: dziewczyna, chłopak, deszcz, a na dodatek łaciąty psiak (gumowy, bo gumowy, ale zawsze pies).

Schowałeś tego kundla do kieszeni i ruszyliśmy dalej, w deszcz. Wtedy przypomniałam sobie nagle, jak na filmie twarz Marka. Szybko zreflektowałam się. Marek jest daleko, ja jestem tutaj z Tobą. Jestem, no więc po co jestem, skoro myślę o Marku.

— Wiesz — zapytałam — czy nie wydaje Ci się czasami, że ktoś obok idący musi odczuwać to samo co Ty?

Nie zrozumiałeś aluzji. Przyjałeś to za dobrą monetę.

— Tak, nawet często mam takie wrażenie — rozjaśniłeś się.

— To straszne, z tego powstają tylko rozczarowania — ciągnęłam.

— Może — odparłeś lakonicznie.

Ale potem posmutniałeś. Nie chciałeś o nic pytać. Bałeś się z moich ust usłyszeć o Marku, chociaż i tak dobrze o nim wiedziałeś. Tak, tak, na pewno wiedziałeś.

Wtedy między pocałunkami rozmawialiśmy szeptem. Marek opowiadał mi o sobie. Pamiętam prawie każde słowo „...to jest straszne mieć taką słabą wolę... wiesz chciałbym być przede wszystkim człowiekiem”. Mój szept: a nie jesteś nim zawsze? „Nie wiem, boję się... ja chyba Cię pokochałem...” A może słyszałeś jeszcze ten idiotycznie głośny łomot mojego serca. Pamiętam, to było zupełnie tak, jakby moje ciało otwierało się, a serce ulatywało gdzieś — tam, gdzie tak bardzo pragnęło pójść. Ta „ucieczka serca” sprawiała mi niemal fizyczny ból. A jednak to była chyba znowu tylko chwila. Do odjazdu Twojego pociągu zostało kilka minut. Trzymałeś mnie mocno za rękę, bardzo mocno. A potem powiedziałeś, że wszystkie Twoje poglądy wzięły w łeb. Zrozumiałam. Nie chciałeś żyć teraz chwilą, myślałeś o mnie, myślałeś, że dobrze

by Ci było ze mną zawsze, a przecież tak przedtem zastrzegałeś się, że nigdy i niko-go... Nie wytrzymałam. Powiedziałam.

— Boję się, abyś się nie rozczarował. Wiesz, pomiędzy Tobą a mną jest pewna różnica: Ty chcesz żyć chwilą, a ja nie chcę, lecz mimo to żyję, rozumiałam to dopiero teraz.

Popatrzyłam na Ciebie, ale zamiast wielkiej czupryny i jej właściciela zobaczyłam kadr z twarzą Marka. Serce zaczęło znowu tak idiotycznie walić. A więc powracam do przeszłości, do wspomnień? Czyżby chwila przestała być chwilą? Jak to się mogło stać? Może już wtedy na plaży... Tak często zdajemy sobie sprawę z czegoś, długo po fakcie. Łódź, zupełnie tak jak słońce była ciągle przed nami, tylko stawała się coraz większa i większa, a słońce wciąż było takie samo. A my chcieliśmy właśnie dojść do tego pionącego słońca. Nie, stary, to nie było banalne. I nie byłam niekonsekwentna. Wido-cznie ważniejsze są nasze odczucia niż fakty, które je wywołują. Marek przerwał milczenie.

— Czy chcesz tak na moment umrzeć?

— Jak to umrzeć?

— No... zobaczysz.

Bardzo chciałam odpowiedzieć, że tak, że chcę, oczywiście, ale zawsze moja przekora jak tylko usłyszysz „zobaczysz” odpowiada — a właśnie że nie zobaczę!

No i zaczęła się gonitwa. Eh, stary, czy uciekałeś kiedy, chcąc być jednocześnie zapanym? To wcale nie tak proste, ale pomógł mi piasek. Po prostu wpadłam w jakąś ogromną ławicę, przekoziółkowałam parę metrów i... roześmiałam się. Jeżeli można mówić o szczęściu to, to chyba właśnie tak wyglądało moje. Pamiętam pierwszy odruch Marka, kiedy podbiegł. Wyciągnął na sekundę rękę. Do dziś nie wiem dlaczego. Zapewne on sam tego nie wie, ale ja utożsamiam zaraz Jego rękę z jakimś pomostem porozumienia. Znowu powiesz — ale banał — „pomost łączący ich dwoje”. I znowu nie będziesz miał racji. Podczas pocałunku moje włosy zaplątały się w okulary Marka. Czy znowu powiesz, że to zupełnie zwyczajne i że trzeba wtedy zdejmować okulary?

— Przyjdziemy tu jutro, dobrze? To będzie nasza łódź.

— Może dojdziemy w końcu do tej czerwonej kuli.

Dopiero teraz, przypominając to sobie, dziwi mnie, jak nie pamiętaliśmy o czasie. Wiedzieliśmy dobrze, że już na drugi dzień odpytywamy z Jastarni. Ale to nie miało dla nas zupełnie żadnego znaczenia. Wiesz, Marek bardzo często zaskakiwał mnie swoimi powiedzeniami. Wymyślał nazwy dla różnych przedmiotów i przy tym uważał to za coś tak normalnego, że często oburzał się na

moje zdziwienie czy śmiech. Pamiętam, kiedyś poprosił — nie maluj stonóg, dobrze?

— Czego mam nie malować?

— Stonóg. Takie masz śliczne, długie — dotknął moich rzęs.

Uśmiechnęłam się — stonogi, też coś.

— Czy wiesz, że pocałunek ma tylko wtedy wartość, gdy coś czujemy?

— Tak, wiem Marku.

Prostokątne szybki okularów znowu na moment otuliły się moimi włosami.

— A teraz cię uduszę — zakończył triumfalnie.

Zdażyłam jeszcze tylko zobaczyć opalone ręce — kleszcze i już leżałam unieruchomiona. Wtedy też spełniło się jedno z moich dziwnych marzeń. Zresztą nie specjalnego. Ty też na pewno masz takie. Wiesz, zawsze chciałam zobaczyć jakąkolwiek powierzchnię jednolitą to znaczy bez zmrużenia oczu widzieć tylko coś jednego. To bardzo trudne, bo zawsze zobaczysz jakiś obcy szczegół. Wtedy właśnie pierwszy raz mi się to udało. Przytrzymywana rękami Marka mogłam patrzeć tylko na wprost, w górę, a tam nie było ani chmur, ani dymu, ani słońca, ani gałęzi drzew. Tylko szarość. Nie wiem, czy to traf czy moja sugestia, ale tę wieczną jednolitość skojarzyłam z czasem, który stał się dla mnie teraz takim samym bezmiarem.

— Żyjesz? — zapytał zaniepokojony zbyt długim milczeniem.

— Uhm, jeszcze troszeczkę żyję.

— Strasznie się cieszę.

Zrobiło mi się wesoło. Nawet nie wiem dlaczego, może od tego „troszeczkę żyję”. może od pocałunków Marka, a może od tego nieba...

A potem był nasz bieg, chłodna woda, śmiech i sól na ciałach, a potem jeszcze droga do tego czerwonego słońca i moje włosy na okularach i tyle dobrych słów. A jeszcze potem były zarosnięte zielskiem ruiny jakiegoś kościoła i była cisza i dźwięk na twarzach.

Wiesz, chciałam bardzo żebyś to zrozumiał. To nie była przygoda ani „milde spędzenie czasu”, ani nawet „wakacyjna miłość”. Ta plaża w Jastarni, stara winiarnia i dziesiątki innych miejsc, setki słów, gestów, pocałunków, spojrzeń, uśmiechów i myśli, to nie były chwile. Jak by Ci to wytłumaczyć... Widzisz, ja ciągle, bez przerwy żyłam tym. Teraz pozostało tylko to ostatnie — myśli, ale jest ich tak dużo i są takie, że zastępują tamto i ja nadal żyję tym bez przerwy, tak jak wtedy. Ale na zrozumienie tego trzeba było 17 lat. Bo do tego trzeba dojść samemu...

Maria Zakrzewska

